

Wojciech Stanisławski: Nad Dunajem i nad Świdrem

My, czytelnicy, jak wrakolaki czerpiemy śmiałość i élan vital od tego Anglika, dla którego nie ma rzeczy niemożliwych, który wędruje przez Europę od dworu do dworu, od karczmy do karczmy ze znajomością kilku języków i plecakiem (w nim zaś „Ody” Horacego i pięć koszul).

Napisać o tej książce; ale nie tak, jak robią to mediaworkerzy, futrujący recenzję życiorysem autora, który podczas wojny jako oficer SOE spędził na Krecie ponad dwa lata, a jego tamtejsze doświadczenia mogłyby posłużyć za podstawę scenariusza „Dział Navarony” albo kolejnych filmów bondowskich. Nie wspomnieć ani słowem o jego pielgrzymkach na Athos i znajomości dialektów iliryjskich i wołoskich, o pisanych przezeń jakby od niechcienia librettach oper i powieściach, o tym, że maszyny do pisania użył po raz pierwszy jako 92-latek, przedtem wysyłając do wydawców jedynie manuskrypty; z *ouzo* i papierosami nie rozstał się natomiast do śmierci, która nadeszła w cztery lata później. To naprawdę nieważne, podobnie jak dziesiątki sytuacji, ripost i olśnień, o których przeczytać można w dwóch tomach jego korespondencji i pół tuzinie jego biografii. Przypuśćmy, że gruby brulion w zielonkawych okładkach, który kupił był w Bratysławie i w którym notował wrażenia z kilkumiesięcznej wędrówki w dół Dunaju, Cisy, Mureșu/Maroszu (rozszczepiony między przyjaźń dla Węgrów i Rumunów, skrupulatnie notował obie nazwy używane w Siedmiogrodzie) i anonimowego dla nas na zawsze potoku, którym w pewien upalny letni dzień spływał z hrabią Istvánem („...przedarliśmy

się przez zarośla trzciny oraz rukwi i daliśmy nura do wody (...) [która] była upstrzona cętkami cieni rzucanych przez liście i zasłana puchem z ostów”) – że brulion ten, zagubiony zresztą przezeń w zaprzyjaźnionym rumuńskim pałacu, okazał się wszystkim, co zostało po anonimowym brytyjskim wędrowcu: błyskotliwym brytyjskim dwudziestolatku, który postanowił w połowie lat 30. przejść na piechotę z Holandii do Konstantynopola. Co by to zmieniło w treści „Między lasem a wodą”, zapisu podróży wydanego po raz pierwszy w 1986? Nic.

Napisać o tej książce pomijając to, co zdaniem wielu jest w tej prozie podróży najważniejsze: niesłychaną, umykającą tylu wspomnieniom, relacjom i powieściom z epoki barwność tamtego świata. Nostalgie za środkowoeuropejską harmonią lokujemy zwykle jakieś ćwierć wieku wcześniej, w *belle époque*: to wówczas jeszcze, zwykło się mawiać, można było spotkać powóz Cesarza w dolinie, wówczas istniało jeszcze gęste utkanie gwar i wiar, nie poddanych do końca unifikującemu wpływowi armii i szkoły, wówczas jeszcze Europę Środkową zaludniali (by przywołać epitafium Josepha Rotha ze stron „Krypty kapucynów”) „Cyganie z Puszczy, podkarpaccy Huculi, żydowscy dorożkarze z Galicji (...), słoweńscy maroniarze ze Sipolja, szwabscy plantatorzy tytoniu z Baczki, hodowcy koni ze stepów, muzułmańscy kowale srebrnych filigranów Bośni Hercegowiny, handlarze koni z Moraw, tkacze z Gór Kruszcowych, młynarze podolscy”. Wraz z wybuchem Wielkiej Wojny to się – zwykliśmy uważać – skończyło: jedni zginęli, innych sformatowała wielka sztanca nowoczesnego państwa. „To nasze serca, wapnem przysypane, / Na pustych polach które zlizął płomień”.

Dzięki zapisowi wędrówki Fermora – jak głosi podtytuł drugiego tomu itinerarium, „Znad środkowego Dunaju do Żelaznych Wrót” – możemy się przekonać, jak wiele jeszcze ostało się w Dwudziestoleciu tej niesztancowanej urody i mnogości narzeczy, stanów i szczepów: jak można było na użyczonym przez znajomego arystokratę kasztanie imieniem Malek kłusować przez Wielką Nizinę Węgierską, pić mleko i palinkę z Cyganami, na peronie granicznej stacji kolejowej Decebal spotkać chasydów jadących na zjazd w Bukareszcie, spisywać niepojęte węgierskie słówka, w rumuńskich z kolei z radością odnajdując łacińskie brzmienia. Oczywiście: trzeba było mieć do tego ciekawość, otwartość umysłu i energię wędrowca, który po kilometrach w górę Karpat, nocach przetańczonych do wtóru płyt z jazzem i na wołoskich weselach spędza spokojne przedpołudnia – ot, na przykład w bibliotece zamku w Kápolnas, gdzie gości u hrabiego Jenő Telekiego (kuzyna poznanego w Budapeszcie Pála), mówiącego po angielsku ze szkockim akcentem entomologa, kartkując „szeregi encyklopedii w kilku językach, pisane po łacinie pieprzne wiersze Janusa Pannoniusa, XV-wiecznego biskupa Peczu o chorwacko-węgierskich korzeniach (...), połyskujące wyblakłymi znakami herbowymi księgi genealogiczne oraz wielotomową *Geographie universelle Reclusa*”, wymieniając z hrabią Telekim niezobowiązujące uwagi o jawajskich ćmach i relacjach Ammiana Marcelina z poselstwa na dworze Attyli...

Chłonność umysłu młodego Fermora nie miała granic; notował (a starszy o pół wieku Fermor rozwijał i uzupełniał zapiski z zielonkawego brulionu, panując nad pamięcią nie gorzej od Prousta) słówka, smaki, trunki, przeboje z celuloidowych płyt, tytuły i treść powieści Móra Jókaiego, architekturę zamku Vajdahunyad, zarys dziejów nowożytnych Węgier, formacje lansjerów bengalskich, pasterskie podania o strzygach i *vrkolakach*, Perseidach i dębach szypułkowych. My zaś, czytelnicy, jak

vrkolaki czerpiemy śmiałość i *élan vital* od tego Anglika, dla którego nie ma rzeczy niemożliwych, który wędruje przez Europę od dworu do dworu, od karczmy do karczmy ze znajomością kilku języków, plecakiem (w nim „Ody” Horacego i pięć koszul) i kilkoma funtami, przesyłanymi przez krewnych do brytyjskich konsulatów na szlaku.

A jednak tym, co w zapiskach Fermora porusza najgłębiej nie jest ani panorama Europy Środka, ani erudycja i cnoty autora, ani nawet uroda życia siedmiogrodzkiej szlachty węgierskiej, przypominająca w niejednym najświetniejsze lata *Brideshead*. Potrzeba drugiej, trzeciej lektury, by usłyszeć te zdania: „Wśród wielopalczastej masy kasztanowego listowia krążyły niespokojne roje świetlików, a rozchodząc się pewnej nocy do łóżek, ujrzeliśmy na drzewie mrowie szmaragdowych, mniejszych od trzypensowej monety rzekotek, które przywarły do liści niczym miniaturowi, zieleni rozbitkowie do tratw. (...) Rejony sąsiadujące z Segedynem lipcowe i sierpniowe susze zamieniają w migotliwe połacie pokryte kryształkami soli, dopełniające całość halucynacji nieostrożnego, oszołomionego mirażami i trąbą wirującego pyłu wędrowca (...). Dalej ścieżka prowadziła stromo w dół przez las leszczynowy, a wyschnięte skorupki i jądra orzechów rozpryskiwały się z trzaskiem pod kopytami koni”. To sceny jak z „Centurii” Traherne’a, jak z cyklu „Świat. Poema naiwne”. To epifanie: nie inwentaryzacyjne i nudne „opisy przyrody”, lecz radość ze świata, który stwarzany jest na naszych oczach.

A przecież nie zawsze musi to być migotliwa od soli puszcza, karpacki las leszczynowy czy srebrne i mosiężne misy w siedmiogrodzkich dworach. Czasem może to być również opis drewniaków, bruku, parkanów i klonów małego miasteczka położonego na południowy wschód od Warszawy. Miasteczka starannie, finezyjnie, obsesyjnie wręcz zanonimizowanego, choć zarazem zanonimizowanego tylko pozornie: co to za bezimienność, która sąsiaduje ze Śródborowem, która rozciąga się przy torze prowadzącym do Celestynowa i Pilawy, w której stoją „nieoszkłone werandy ze sztachetkami z desek, ozdobionymi na lokalną modłę w wycięte laubzegą wzorki”?

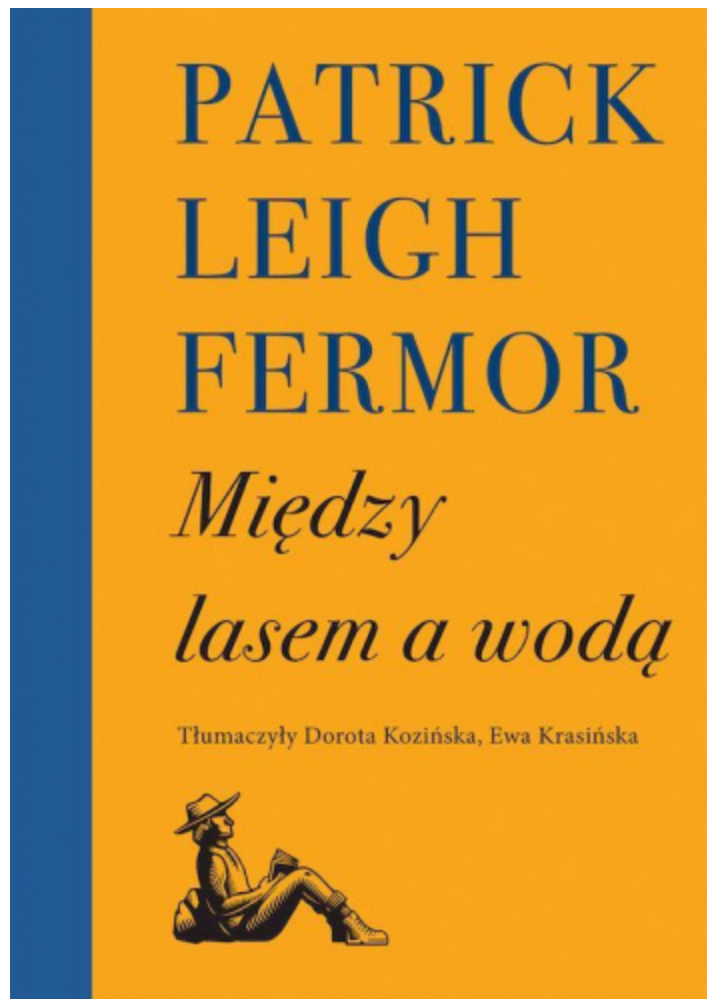
To miasteczko w kształcie z lat 50. i 60. minionego wieku opisane zostało przez Piotra Sommera na kilka sposobów: z geometryzującą, niepokojąco doskonałą precyzją, przypominającą czasem pasaże z „Locus solus” Raymonda Roussela, gdy mowa o najbliższych okolicach stacji kolejowej („Smukły korpus budynku z galeryjkami jak skrzydłami po obu stronach stał idealnie w poprzek placu i domykał otwartą jego przestrzeń, ukształtowaną przez równoległe linie obu krawężników, obu trotuarów, obu metalowych płotów i domyślnych w zasadzie torów, bo tory widać było tylko od strony dworca”). Z żartobliwą powagą, która każe dodawać filozoficznej powagi rozważaniom uczniów, jak kiedyś inny autor dodawał jej huculskim bałaguną. Z gotowością do przyznania przedmiotom i zjawiskom daleko posuniętej autonomii („Śnieg szybko wypełniał szczeliny bruku, a potem się umacniał i dzięki bezinteresownemu wstawiennictwu samochodów wyrównywał poziomy jezdni”). Z zapisem chłopackich radości, z równie cierpkim, co powściągliwym punktowaniem brzydoty i nędzy środkowego PRL: brył lepiku, flaszek po wódce w sznurkowej siatce, skrzypiących studni „abisynek” i brutalności dorosłych, od nauczycieli po węglarzy.

Ale i zachwytu kruchym istnieniem rzeczy, na przykład drewna: „Ze wszystkich znanych nam drewnianych bali podkłady wyróżniał brązowy kolor, jak gdyby każdy z nich ktoś pieczołowicie pokrywał bejcą; a także sposób ociosania. (...). Lepiej się znałem na wiórach i trocinach. I na listewkach. W sosnowych tkwiły sęki, łatwo się łamały, i czasem w tych miejscach wydzielala się jeszcze żywica. Najchętniej wsadziłbym trochę zapachu smoły i drewna do pudełka po zapałkach, żeby go mieć w kieszeni” – pisze Sommer, widząc jeszcze i to, jak starzeje się sośnina, jak zewnętrzne ściany drewniaków „wytrawione przez śnieg i deszcz do brunatnej surowości, rok w rok coraz bardziej traciły oryginalną barwę. Ich szorstkość wydawała mi się szlachetna. Między deski ścian zewnętrznych i wewnętrznych wpychano sosnowe igły, które z biegiem lat traciły zapach i płowiały. Były coraz lżejsze i opadały głębiej”.

To ze względu na tę uwagę dla igieł, żywicy i sosnowych sęków stawiam na chwilę „Środki do pielęgnacji chmur”, powieściowy debiut poety, obok epifanii Fermora. Ale – nie jest to, bynajmniej, nowatorskie spostrzeżenie – świat powojenny opisywano już inaczej niż *Brideshead* i *kastel* w Kápolnas. Między Kołbielą, Pilawą a Wschodnią tłucze się w tej epifanii, pękniętej jak talerzyk z dawnego pensjonatu, „długi pociąg towarowy, pozostający poza zwyczajowym rozkładem jazdy, pełen – czy to możliwe (...) dorosłych i dzieci”: widmowy, nigdy nie trafiający na stację obok Śródborowa, niemożliwy do zapomnienia.

Patrick Leigh Fermor, „Między lasem a wodą. Pieszko do Konstantynopola”, tłum. Dorota Kozińska, Ewa Krasieńska, Wydawnictwo Próby, Warszawa, 2024

Piotr Sommer, „Środki do pielęgnacji chmur”, Wojewódzka
Biblioteka Publiczna (WBPiCAK), Poznań, 2024



ŚRODKI

DO PIOTR
SOMMER

PIEŁĘGN

ACJI

CHMUR

Wojciech Stanisławski

Recenzje Wojciecha Stanisławskiego w ramach cyklu „Czytelnia publiczna” ukazują się co dwa tygodnie.

► Przeczytaj wcześniejsze

*Dofinansowano ze środków Ministra Kultury i Dziedzictwa
Narodowego pochodzących z Funduszu Promocji Kultury*



Ministerstwo Kultury
i Dziedzictwa Narodowego
